

Studium dzikości

8 marca 2010

Słowo wylatuje wróblem, a powraca wołem. Gdyby taki, dajmy na to, poseł Mirosław Drzewiecki, występujący w widowisku telewizyjnym zwanym Sejmową Komisją Śledczą Badającą Aferę Hazardową Której Nie Było jako „Miro”, co to obiecywał, a nie załatwiał, zastosował się do rady udzielonej ongiś Polsce przez francuskiego prezydenta Chiraca, by „siedzieć cicho”, to nie byłby dzisiaj kandydatem na winowajcę na wypadek, gdyby jednak starsi i mądrzejsi kazali zasiadającym w komisji fajdanisom stwierdzić, że afera była, a winnych napiętnować surowymi, a przynajmniej – nieuchronnymi karami.

Dlatego właśnie milczenie jest złotem, co w przypadku posła Drzewieckiego przeliczyć można na co najmniej 10 tysięcy złotych miesięcznie, czy ile tam wynosi dzisiaj dieta tubylczych fajdanisów – bo fajdanisowie europejscy, jak wiadomo, dostają dużo, dużo więcej. A jeśli dodać do tego lody, to... ach, łza się w oku kręci, ale – jak napisał poeta: „darmo; co raz człek stracił, tego nie odzyszcze”. A zdaniem nie tylko fajdanisów opozycyjnych, ale również koalicyjnych, wśród nich nawet – Janusza Palikota, właśnie definitywnie utracił zdolność uczestnictwa w życiu politycznym. Inna sprawa, że to całe „życie polityczne” sprowadza się do bzdzenia w fotele, pobierania diet, kręcenia lodów, groźnego kiwania palcem w bucie oraz wymyślania sobie nawzajem, ale jak ktoś nie ma lepszego pomysłu na życie, to przecież i tego szkoda. Tymczasem poseł Drzewiecki utracił tę zdolność z uwagi na diagnozę postawioną w wywiadzie dla polonijnej rozgłośni, że Polska jest „dzikim krajem”.

Że na taką diagnozę śmiertelnie obrazili się fajdanisowie – to rzecz zrozumiała. Spotykają się oni z fajdanisami zagranicznymi, wobec których pragną uchodzić za szalenie cywilizowanych, i dlatego bardzo piją whisky, lub przynajmniej „drinki”, jedzą „lunchy”, a nawet „brunchy”, bardzo chodzą w

garniturach od Hugona Bossa lub Armaniego i kałesonach „Eminence”, niektórzy nawet – jak minister Radosław Sikorski – mówią językami niczym apostołowie na Zielonych Świątkach – a tu poseł Drzewiecki zdradza takie tajemnice państwowe! Co za hańba, co za wstyd! („Popatrz matko, popatrz ojczy: oto idą dwaj folksdojczy. Co za hańba, co za wstyd! Jeden Polak, drugi Żyd!”). Co sobie teraz pomyślą w Paryżu? Nikt nie będzie mógł pokazać się na oczy, bo zaraz wszyscy będą wytykać go palcami – jak to w krajach cywilizowanych. Zbrodnia to niesłychana, więc wygląda na to, iż poseł Drzewiecki jest kandydatem na politycznego nieboszczyka, a zarazem winowajcę w aferze hazardowej, gdyby oczywiście starsi i mądrzejsi jednak kazali... – i tak dalej.

Nawiasem mówiąc, przypadek posła Drzewieckiego skłania do pobieżnych choćby studiów nad zagadnieniem dzikości. Co to jest ta cała „dzikość”, co właściwie poseł Drzewiecki miał na myśli? Sądzę, że można określić dzikość przez jej przeciwieństwo – a przeciwieństwem dzikości jest cywilizacja. No dobrze – ale co to właściwie jest cywilizacja? Feliks Koneczny definiował cywilizację jako „formę ustroju życia zbiorowego”, ale skądinąd wiemy, że formy takiego życia są rozmaite. Najprostszą formą ustroju życia zbiorowego jest rodzina, wyższą od niej – ród, rozumiany jako grupa rodzin mająca wspólnego przodka. Następną formą ustrojową jest plemię – czyli zespół rodów pielęgnujących tradycję wspólnego pochodzenia. Wyższą od trybalizmu formą jest narodowość, a więc wspólnota kulturowa (język, moralność, obyczaj, tradycja), ale jeszcze nie zorganizowana politycznie. Narodowość zorganizowana politycznie staje się narodem, zaś ponadnarodową formą ustroju życia zbiorowego jest właśnie cywilizacja. Feliks Koneczny twierdził, że o kształcie poszczególnych cywilizacji (bo jest ich wiele), decyduje tzw. quincunx, czyli dominujący w społeczności sposób pojmowania pięciu pojęć: dobra, prawdy, piękna, zdrowia i dobrobytu.

Przyglądając się współczesnemu światu, widzimy, że

społeczności znajdują się na różnych etapach zaawansowania. Na przykład w Czeczenii, niezależnie od oficjalnych form tamtejszej państwowości, dominuje ustrój rodowy, zaś przyglądając się społeczności żydowskiej, nie bez zaskoczenia natrafiamy na wiele elementów charakterystycznych dla wspólnoty plemiennej – co zaznacza się między innymi w podejściu do zagadnień własnościowych, ale nie tylko – bo charakterystyczne dla społeczności plemiennych jest przede wszystkim zaliczanie do gatunku ludzkiego tylko przedstawicieli własnego plemienia – co czasami znajduje wyraz nawet w języku. Na przykład słowo „kanaka” oznacza „człowieka”, ale jednocześnie – tylko Maorysa, co jest rozróżnieniem podobnym, jak Żyd i „goj”. Im więcej takich anachronizmów można spotkać w społeczności, a więc – im bardziej odległa jest ona od poziomu określanego mianem „cywilizacji”, tym większa skłonność do przypisywania jej „dzikości”.

No dobrze – a jak właściwie z tego punktu widzenia wygląda Polska? Czy w społeczeństwie polskim rzeczywiście dominuje jednolity pogląd na dobro, prawdę, piękno, zdrowie i dobrobyt? Już na pierwszy rzut oka widać, że nie, bo na przykład w jednych środowiskach za prawdę uważana jest *adequatio rei et intellectus*, czyli zgodność mniemania z rzeczywistością, podczas gdy dla innych całkiem zresztą licznych, prawdą jest to, co za prawdę akurat uznaje większość, albo – co akurat każe uznawać za prawdę partia, starsi i mądrzejsi, albo nawet – „Gazeta Wyborcza”. Widać tę różnicę doskonale choćby w sejmowej komisji śledczej, więc nawet w tak małej zbiorowości daje się zauważyć brak cywilizacyjnej wspólnoty, a tylko jej ostentacyjnie eksponowane pozory. A gdybyśmy pogrzebali jeszcze dokładniej, to bez trudu przekonałibyśmy się, jak zasadnicze różnice występują w poglądach na piękno i dobro, zaś nawet pobieżny przegląd ustawodawstwa gospodarczego przekonałby nas o całkowitym pomieszaniu pojęć w kwestii „dobrobytu”. Wygląda na to, że do roku 1939, mimo większego niż obecnie rozwarstwienia społecznego, Polska była

cywilizacyjnie znacznie bardziej jednorodna, niż obecnie, kiedy odczuwamy trwałe skutki antycywilizacyjnego oddziaływania komunizmu, na które nakłada się wpływ demokracji totalnej i forsowanego przez zagranicznych i tubylczych postępków marksizmu kulturowego, czyli politycznej poprawności.

Skoro tak, skoro nie tworzymy cywilizacyjnej jednorodności, to czy przypadkiem nie ześlizgujemy się łagodnie z stronę zdziczenia? Czy aby nie uwsteczniamy się powoli do poziomu przednarodowego? Wprawdzie niby mamy „niepodległość i wojsko własne, własny skarb” – ale przecież z miesiąca na miesiąc coraz lepiej widać, że to, co składa się na „państwo”, to tylko atrapy, będące w gruncie rzeczy już tylko przedsiębiorstwami przemysłu rozrywkowego, zaś osobnicy poprzebierani za dygnitarzy to tylko klauni zaangażowani do przedstawienia przez dyskretnego reżysera. A ponieważ nic tak nie gorszy, jak prawda, to pewnie dlatego tak ich wzburzyła diagnoza przedstawiona przez „Mira” Drzewieckiego, który pewnie też nie zdawał sobie sprawy z tego co mówi, a tylko chlapanął, co przyniosła mu na język ślina pod wpływem rozgoryczenia, że oto kumple, tacy sami przecież jak i on, rzucili go na pożarcie.

Autor: Stanisław Michalkiewicz

Źródło: [Tygodnik „Goniec” z Toronto](#)